

Anarcho-Biblioteka
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



Przeciw aktywizmowi

Walka spontaniczna, a zorganizowany opór

Astra Taylor

Astra Taylor
Przeciw aktywizmowi
Walka spontaniczna, a zorganizowany opór
2016

„Le Monde Diplomatique – edycja polska”, nr 124, czerwiec 2016
Tłumaczenie: Anastazja Dwulit. Tekst jest skróconą wersją artykułu, który
ukazał się w amerykańskim piśmie *The Baffer*.

pl.anarchistlibraries.net

2016

Są z grubsza dwie strategie walki przeciw panującemu porządkowi. Jedna odwołuje się do spontanicznego odruchu protestu i sumienia politycznego. Wykorzystuje dramatyczne obrazy i język moralnego oburzenia, ale ma spore trudności w tworzeniu trwałych struktur społecznego oporu. Druga strategia skupia się na organizacji walki w dłuższej perspektywie. Jest mniej efektowna i modna, ale często bardziej skuteczna. Czasem te dwa nurty spotykają się.

Jakieś 10 lat temu na jednym z uniwersytetów w New Jersey wysłuchałam wykładu zatytułowanego „Rok 1968”. Wygłosił go Mark Rudd, znana postać ruchu studenckiego i kontrkultury lat 60. Rudd właśnie przeszedł na emeryturę po latach nauczania matematyki na uczelniach w Nowym Meksyku, na których studiują głównie biedni. W swoim wykładzie bawił się demystyfikowaniem sławy, jaka spadła na niego kiedy, w wieku 20 lat, odegrał ważną rolę w okupacji nowojorskiego uniwersytetu Columbia.

W tamtych, młodzińskich latach Rudd działał też w spopularyzowanej przez media radykalnej organizacji Weather Underground, uprawiającej „propagandę czynem”, która przeżyła swoją chwilę chwały detonując bomby przed Kapitołem, a potem przed Pentagonem (na szczęście bez ofiar).

Zgromadzeni na wykładzie słuchacze – przede wszystkim studenci i zaangażowana politycznie młodzież – ekscytowali się rewolucyjną przeszłością Rudda, zafascynowani jego wieloletnią podziemną działalnością. Działacze Weather Undergroundu – mówili sobie – może posuwali się za daleko, może niczego konkretnego nie uzyskali – no, ale przynajmniej coś robili!

Jednak Rudd rozwiewał nasz tani romantyzm. W przeciwieństwie do większości swoich dawnych towarzyszy, którzy z wiekiem stali się bardziej konserwatywni, pozostał wierny politycznym ideałom młodości. Tyle, że nie utożsamia się już z taktyką bezpośredniej konfrontacji, której zawdzięczał swoją popularność. Maczystowskie popisy, nawoływanie do chwycenia za broń, wszystko to jest tylko – przekonywał nas – szalonym złudzeniem. Robiąc z siebie awangardę, której zadaniem jest katalizowanie „białej broni” w służbie „ludu całego świata”, Ruddowi i jego towarzyszom udało się tylko zdemobilizować bazę działaczy, jaką inni, dzięki wieloletnim wysiłkom, przez lata organizowali.

Narodziny aktywistów

Nie brali w owym czasie pod uwagę – wyjaśniał, nie próbując karmić naszych powstańczych fantazji – różnicy między aktywizmem a pracą organizacyjną, między manifestowaniem swoich ideałów a budowaniem politycznego

rzy wierzą, że samo działanie, nawet zupełnie oderwane od jakiegokolwiek spójnej strategii, może w magiczny sposób doprowadzić do społecznej epifanii. Na szczęście aktywiści nie wyrugowali całkowicie organizatorów. Zdaniem Marka Rudda w wielu miejscach pojawiają się działania zgodne z zasadą: „edukacja, budowanie bazy, koalicja”, które ja opisałabym jako tworzenie wspólnotowej tożsamości związanej z podziałem władzy ekonomicznej. Jednak te mało spektakularne wysiłki zbyt często nikną zagłuszone kolejnymi internetowymi fajerwerkami.

W ostatnich miesiącach dziesiątki tysięcy Amerykanów wyległo na ulice, by słuchać, jak Berni Sanders oskarża „klasę miliarderów”. A skoro rosnąca liczba młodych ludzi i większość nowych wyborców demokratów pozytywnie kojarzy słowo „socjalizm”, to może skuteczna i inteligentna praca organizacyjna wykorzystałaby ten powrót lewicowej wrażliwości, kierując niesioną przez nią energią poza skromny rytuał wyborów prezydenckich, poza samą tylko politykę wyborczą.

Elity zawsze potrafiły przedstawiać tych, którzy je krytykują, jako nieudaczników i malkontentów. Dużo trudniej im będzie dyskwalifikować organizatorów, którym uda się zmobilizować masy i działać zgodnie z wytyczoną strategią.

ruchu. Rudd wciąż do tego wraca. „Tylko jeden raz – mówił mi niedawno – usłyszałem słowo ‘aktywista’, 50 lat temu – było użyte przez naszych ówczesnych wrogów, kierownictwo uniwersytetu i dziennikarzy, jako obelga pod adresem walczących studentów”.

W przeciwieństwie do zakorzenionego w historii związków zawodowych i w dziejach amerykańskiej lewicy określenia „organizator”, pojęcie „aktywisty” wzięło się trochę nie wiadomo skąd, narzucało się powoli jako określenie osób zaangażowanych w działanie związane z indywidualnym i politycznym odrodzeniem w szerokim sensie. „Mieliśmy w zwyczajnie sami siebie nazywać rewolucjonistami, radykałami, bojownikami, socjalistami, komunistami lub organizatorami” – przypomina sobie Roxanne Dunbar-Ortiz, lewicowa historyczka od 50. lat działająca w ruchach społecznych. Pojawienie się słowa „aktywista” na scenie publicznej zbiega się, jej zdaniem, z coraz powszechniejszą dyskredytacją lewicy.

Wielu towarzyszy broni Rudda i Dunbar-Ortiz pochodziło z rodzin kultywujących idee komunistyczne, związkowe czy biorących udział w walce o prawa człowieka w Skonfederowanych Stanach Ameryki. Bywali związani z ruchami związanymi z Kościołem i z różnymi wspólnotami, płacąc często – choć skromnie – organizatorom, którzy przez długi czas podtrzymywali mobilizację ludności, choć perspektywa zwycięstwa była bardzo odległa.

Aktywiści zaczęli się mnożyć dopiero pod koniec lat 60., w związku z nowymi walkami – w sprawie feminizmu, emancypacji homoseksualistów, ekologii, praw osób niepełnosprawnych. W latach 80. i 90. pojęcie aktywizmu stało się czymś powszechnym. Ruchy określane tym słowem wykonywały wielką robotę w bardzo krótkim czasie, często dzięki zastosowaniu technik, które wzbogaciły tradycyjne formy walki; stworzono wówczas otwarte, demokratyczne i antyhierarchiczne procedury. Jednakże, chcąc uwolnić się od ciężaru dziedzictwa tradycyjnej lewicy, pozbywali się także taktyk, tradycji i metod, które mogły być użyteczne.

Aktywiści odnieśli największe sukcesy w okresie, kiedy kontestujący odwrócili się od tego, co uznali za przestarzałe ideologie, w stronę bardziej zdecydowanych i radykalnych wyborów politycznych. W latach 60. pojawiła się też tendencja do odchodzenia od postaci charyzmatycznego przywódcy – zwrócono bowiem uwagę, jakie szkody ponosi ruch społeczny, gdy ktoś będący jej symbolem zostaje zamordowany (Martin Luther King), traci rozum

(Eldridge Cleaver¹) czy przechodzi na stronę wroga (Jerry Rubin²). W tym samym czasie amerykańskie związki zawodowe znalazły się w patowej sytuacji, gdyż na ich czele stali tchórzliwi lub skorumpowani biurokraci. Bardziej idealistyczne kręgi czuły się więc rozczarowane osobami „zawodowo” zajmującymi się zmianami społecznymi.

Dyskredytacja lewicy

Tymczasem jednak, kiedy lewica odrywała się od swoich „organizacyjnych” korzeni, konserwatyści tworzyli nowe struktury, *think tanki*, grupy interesów zasilane pieniędzmi międzynarodowych koncernów; wznicali ewangeliczny zapał żołnierzy „moralnej większości”; przygotowywali grunt pod „podatkową rewoltę” wielkich fortun.

Lewica powinna więc teraz na nowo się zorganizować, by jej aktywizm stał się silniejszy i skuteczniejszy, by – skoro moc ulicznych protestów słabnie – potrzymać i wzmocnić swój zapał. Innymi słowy, powinna tworzyć polityczne organizacje, wykuwać długoterminowe strategie, szukać przywódców (i wybierać ich ze względu na wiarygodność, a nie charyzmę) i wymyślić metody ich wspierania. Rozwój aktywizmu w ostatnich dekadach to zjawisko naprawdę zbawienne. Tyle, że sposoby organizacji, które dawniej zapewniały sukces ruchom społecznym nie rozwijały się w tym samym tempie, wręcz przeciwnie.

Współcześni amerykańscy aktywiści mają zupełnie inne polityczne punkty odniesienia niż ich koledzy z wcześniejszych czasów. Nikt nie może się dziś pochwalić rodzicami z partii komunistycznej, związki zawodowe ledwo zipią, zaś długotrwała walka ruchów praw obywatelskich, która tyle jeszcze miała nas nauczyć, przybiera postać pobożnych życzeń i bajek.

Sam termin „aktywista” zmienił znaczenie. Bardziej opisuje teraz temperament niż pewne spektrum politycznych opinii i praktyk. Wiele osób noszących takie miano zdaje się poprzestawać na rozkoszowaniu się swoją marginalizacją, w nosie mając skuteczność. Być może roją sobie, że ich izolacja jest oznaką szlachectwa czy świadectwem cnoty.

Duża część współczesnego aktywizmu może łatwo popaść w pułapkę indywidualizmu. Tymczasem praca organizacyjna z natury wymaga współpracy i dzielenia się władzą. Jak pisze młody socjolog i działacz Jonathan Smucker, polega na przekształcaniu „grupy ludzi w siłę polityczną”. Dziś

¹ Członek Czarnych panter, który wstąpił potem do partii republikańskiej i przystąpił do sekty Moon.

² Anarchista i hippis, który został biznesmenem i wspierał Ronalda Reagana.

każdy może nazywać się aktywistą, nawet jeśli, próbując zwrócić uwagę na jakiś ważny temat, działa sam i nie odpowiada za swoje czyny przed nikim. Uświadamianie naszym bliźnim istniejących problemów – jedno z ulubionych zadań współczesnego aktywizmu – może być zadaniem niezwykle pożytecznym. Jednak edukacja to nie to samo, co organizacja, nie może ograniczać się do oświecenia jednostki, do jakiej trafia twój przekaz – trzeba zgromadzić wiele osób wokół wspólnego interesu i połączyć ich siły. Organizowanie, zadanie długodystansowe i nierzadko męczące, wymaga tworzenia infrastruktur i instytucji, szukania słabych punktów w argumentacji przeciwników, przekonywania rozproszonych jednostek, by zechciały działać w jednym zespole.

Pułapka „aktywizmu” i drogi wyjścia

Od 2011 r. wielu działaczy ruchów społecznych, jakie wyłoniły się w różnych zakątkach świata, wpadło w pułapkę opisaną przez Marka Rudda: „Aktywizm jako wyraz naszych głębokich uczuć to tylko jeden z elementów budowania ruchu. To taktyka, z braku jakiegokolwiek strategii podniesiona do rangi strategii. Większość młodych bojowników o sprawę sądzi, że zorganizowanie się polega na podjęciu kroków niezbędnych do wzięcia udziału w demonstracji lub w popierającym coś koncercie”. Można dołączyć do tej listy: stworzenie hashtaga w medium społecznościowym, wstawienie petycji w Internecie, sprowokowanie dyskusji internautów. Rzeczywista praca organizacyjna ucierpiała w wielu kręgach działaczy, uspionych wiarą w spontaniczny zryw i głęboko podejrzliwych wobec wszelkich instytucji, wobec wyznaczonych kierunków czy prób przejęcia władzy.

W niektórych okresach zgromadzenia, koncerty, hashtagi, petycje i internetowe dyskusje są bardzo użyteczne. Problem pojawia się, gdy te praktyki stanowią ostateczny horyzont politycznego zaangażowania. „Bardzo dobrze, że w ciągu ostatnich lat wiele osób zechciało działać i że rozwój nowych technologii ułatwił im przejście do czynu” – zauważa L. A. Kauffman, która kończy pisanie historii „akcji bezpośrednich”. Faktycznie zaangażowanie się w małe, konkretne działania – podpisanie petycji, udział w manifestacji itp. – może być pierwszym krokiem do wyznaczenia sobie ogólniejszych celów, jak np. sprzeciwianie się elitom i walka z ich przywilejami.

[...]

Pojęcie aktywizmu zrodziło się sto lat temu w umyśle niemieckiego filozofa Rudolfa Euckena. Wówczas odnosiło się raczej do sfery duchowej niż do świata materialnego. Ten rodzaj myślenia wciąż obserwujemy u ludzi, któ-